

Dr Bolesław Hornowski

HUGO KOŁŁATAJ

Szermierz postępowych myśli wieku Oświecenia

„Polska Rzeczpospolita Ludowa nawiązuje do najszczytniejszych, postępowych tradycji Narodu Polskiego i urzeczywistnia idee wyzwolenie polskich mas pracujących.”

Te słowa projektu Konstytucji Rzeczypospolitej Ludowej nawiązują także do najpiękniejszych i patriotycznych tradycji walk o oświatę ludzi postępowych z uprzywilejowaną warstwą magnatów. Wysiłki ich nie poszły na marne; dziś artykuł 61 projektu Konstytucji gwarantuje każdemu obywatelowi prawo do nauki i oświaty.

W grupie światłych i gorących patriotów był Hugo Kołłątaj — wielki uczyń, pedagog, myśliciel i polityk, którego 140-lecie śmierci przypadało w br. (1750—1812).

Życie i praca Kołłątaja przypadły na tragiczny okres upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej. Znalazł się w grupie najbardziej aktywnych i postępowych działaczy i pisarzy politycznych — „polskich jakobinów” — którzy walczyli o przeprowadzenie reform politycznych, gospodarczych i oświatowych. Od jego też nazwiska obóz postępowych reformatorów został nazwany „Kuznicą Kołłątajowską”.

Za najważniejszą przyczynę słabości Rzeczypospolitej uważał przede wszystkim polityczne i społeczne upośledzenie chłopstwa i mieszczaństwa. I dlatego to myślał o reformach, szczególnie uwagę zwracał na zagadnienia nauki i oświaty. Poglądy swoje opierał na ideach wielkiej rewolucji francuskiej oraz na założeniach filozoficznych francuskich encyklopedystów. Prawdziwa nauka zgodna z rzeczywistością, z której mogłyby korzystać szerokie masy, miała być stanowić najwyższy element nadbudowy, przygotowującej naród polski do wielkich przemian gospodarczych, społecznych i politycznych.

Hugo Kołłątaj pochodził z ubogiej szlacheckiej rodziny. Urodził się dnia 1 kwietnia 1750 roku we wsi Nieciszewice w sandomierskim. Początkowo uczył się w domu, następnie w Pinczowie, a studia rozpoczął w Akademii Krakowskiej. Został księdzem tylko dlatego, aby mieć większe możliwości wybiecia się w ówczesnych warunkach. W celu uzupełnienia studiów wyjechał do Wiednia i Rzymu, gdzie zapoznał się z ideami francuskich encyklopedystów i angielskiego filozofa Locke'a. Do kraju wrócił w 1775 roku. Na polecenie Komisji Edukacji Narodowej zajął się reformą szkolnictwa i Akademii Krakowskiej. Był wizytatorem K.E.N. Kołłątaj wprowadził w 1777 roku nowy program nauki w Gimnazjum Nowoworskim istniejącym przy Akademii Krakowskiej, w którym na plan pierwszy zostały wysunięte nauki przyrodnicze i matematyka. Wszystkie przedmioty nauczania zostały przeopiewane duchem racjonalizmu i użyteczności, a językiem wykładowym został język polski zamiast łaciny.

Reformę Akademii Krakowskiej, w której do tego czasu panował duch dawnej scholastyki, oparł Kołłątaj na nowych wzorach. Dawny podzielił na cztery wydziały: zastąpił dwoma kolegiatami moralnym obejmującym teologię, filologię, historię i prawo oraz fizycznym, w którego skład wchodziły matematyka, nauki przyrodnicze i lekarstwo. W trosce o rozwój kolegium fizycznego, szczególnie dużo pracy i wysiłku włożył Kołłątaj w urzeczywistnienie wyposażenia klinik, laboratoriów, obserwatorium astro-



na opieką szkoły jemu podległe, opracował organizację szkół parafialnych i kształcił nauczycieli tych szkół. Omawiając wychowanie i stan oświaty w Polsce za rządów Augusta III w dwutomowym dziele „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach Augusta III” Kołłątaj nie tylko krytykował, ale jednocześnie podawał metody nowego wychowania. Ostro wystąpił przeciw ówczesnemu scholastycznemu bezmyślnemu uczeniu się. Mocno zwalczał ówczesny zwyczaj, panujący w domach magnackich, zgodnie z którym najpierw uczono języka francuskiego a potem dopiero ojczystego.

Hugo Kołłątaj zdawał sobie dobrze sprawę, jak wielkie korzyści odniesie Rzeczpospolita z posiadania światłych obywateli. Domagał się więc szkół dla młodzieży innych stanów, występował przeciwko pogardzie stanu mieszczańskiego, jaką wpajano w szkołach szlacheckich, walczył o jednolitość wychowania i nauczania, dostosowaną do nowych potrzeb państwa polskiego, co znalazło swój wyraz w ustawach Komisji Edukacji Narodowej. Uderza w nich z jednej strony wielka wiara w potęgę oświaty i wychowania, z drugiej jednak strony nie umiał jeszcze dostrzec zależności wychowania od stosunków ekonomiczno-społecznych. Treść wychowania miała być oparta na poglądach racjonalistycznych, a forma wychowania miała być narodowa. Był przekonany, że cała nędza ludu pochodził iko stąd, że nie nauczono go czytać i pisać.

Energiczna i radykalna reforma scholastycznej Akademii Krakowskiej przysporzyła mu wielu wrogów. Od tego czasu będzie miał zawsze dużo nieprzyjaciół, ale tak samo i przyjaciół ceniących jego bystry umysł, pracowitość, energię życiową i talent organizacyjny. Na skutek zatargów z profesorami Kołłątaj został odwołany ze stanowiska rektora Akademii Krakowskiej przez K.E.N.

Opuściwszy Kraków Kołłątaj udał się do Warszawy, gdzie rozpoczął działalność publicystyczną w okresie sejmiku czteroletniego. Posta-

nowił przygotować i oświecać masy szlacheckie do zrozumienia potrzeb przeprowadzenia radykalnych reform Rzeczypospolitej. W roku 1788 ukazały się 3 tomy „Listów Anonima do marszałka sejmiku St. Małachowskiego”, w których zawarty był program reform państwowych, obejmujących również organizację szkolnictwa i wychowanie publiczne.

Był jednym z autorów Konstytucji Narodowej. Przy pomocy działaczy „Kuznicy” oraz rewolucyjnego ludu warszawskiego udało się Kołłątajowi przeprowadzić zamach stanu w dniu 3 maja i uchwaleń konstytucji.

Po zwycięstwie Targowicy Kołłątaj zmuszony był uciekać do Saksonii, gdzie razem z innymi twórcami reform społecznych napisał pracę pt. „O ustanowieniu i upadku konstytucji 3 maja”, uświadliwiając w niej kompromisowy charakter konstytucji, szczególnie dotyczącej sprawy chłopskiej.

W powstaniu kościuszkowskim Kołłątaj brał czynny udział. Był współtwórcą aktów uniwersału połanieckiego, powołał Radę Najwyższą Narodową jako rząd powstańczy, w którym objął funkcję ministra skarbu, a oświatę oddał swemu przyjacielowi Dmochowskiemu. Po upadku powstania został aresztowany i zatrzymany w więzieniu w Ołomuńcu i Josephstadt, gdzie przebywał do 1802 r.

Po uwolnieniu z więzienia Kołłątaj chwilowo zatrzymał się w Warszawie, a następnie udał się do swojego przyjaciela Deniskiego, zamieszkałego blisko Krzemienia. Był to ostatni okres jego działalności pedagogicznej. Tutaj nawiązał współpracę z Tadeuszem Czackim, z którym wspólnie opracowali plan organizacji Liceum w Krze-

mieniu, mającym przypominać w miniaturze Akademię Krakowską. Tam też opracował projekt organizacji szkół parafialnych w miastach, miasteczkach i wsiach, na całą gubernię wołyńską, w którym domagał się wprowadzenia przymusu szkolnego, szkoły świeckiej i narodowej, dostosowanej do potrzeb mieszkańców oraz odpowiedniego doboru nauczycieli.

Umarł w Warszawie w 1812 roku, opuszczony i prześladowany przez wrogów w ciągu całego życia. Na duchu jednak nigdy nie załamany się w pismach swoich poruszał zawsze szereg zagadnień wychowawczych i oświatowych. Jego poglądy filozoficzno-społeczne świadczą o tym, że był on radykalnym bojownikiem i wybitnym przedstawicielem epoki Oświecenia w Polsce. Domagał się związku nauki z życiem, co wynikało z jego teorii o współzależności i jedności zjawisk życia. Był szczerym bojownikiem o wolność i oświatę ludu polskiego, był propagatorem nowych poglądów pedagogicznych.

Staszek tak powiedział o Kołłątaj: „Tam, gdzie będzie mowa o dziejach narodu, tam niech powie historia o życiu jego, które z życiem politycznym tak ściśle było połączone”.

Prezydent Bolesław Bierut w swoim przemówieniu z dnia 2 maja 1949 roku charakteryzując postępowe tradycje tego okresu, powiedział: „Byli jednak ludzie światli i gorący, szczerzy patrioci, jak Hugo Kołłątaj, Stanisław Staszek i inni, którzy podjęli walkę z wstecnictwem. Byli oni wśród tych, którzy powołali do życia Komisję Edukacyjną i w walce z ciemnotą i przesądami rzucili hasło udostępnienia oświaty ludowi.”

Międzynarodowy Dzień Kobiet



„PRZODOWNICA”

rys. Feliks Smiełowski

1. Kobieta w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma równe z mężczyzną prawa we wszystkich dziedzinach życia państwowego, politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego.

2. Gwarancję równouprawnienia kobiety stanowią:
1) równe z mężczyzną prawo do pracy i wynagrodzenia według zasady „równa płaca za równą pracę”, prawo do wypoczynku, do ubezpieczenia społecznego, do nauki, do godności i odznaczeń, do zajmowania stanowisk publicznych,

2) opieka nad matką i dzieckiem, ochrona kobiety ciężarnej, płatny urlop w okresie przed porodem i po porodzie, rozbudowa sieci zakładów położniczych, żłobków i przedszkoli, rozwój sieci zakładów usługowych i żywienia zbiorowego.

Art. 66 projektu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

STANOWISKO KOBIETY

w dawnej Polsce i dziś

„...Po uczcie u Nerona Petroniusz znużony się blazowaniem Watyniusza brał wraz z Neronem, Lukanem i Senecjonem udział w diatrybie: czy kobieta ma duszę? („Quo Vadis” — H. Sienkiewicz). Takie było pojęcie o kobiecie za czasów upadającego imperium rzymskiego. Mijały wieki, mimo to pytanie: czy kobieta jest człowiekiem wpływa jeszcze nieustannie wśród dysput świata chrześcijańskiego aż do soboru trydenckiego w XVI wieku. Niepewność ta przetrwała nawet poza średniowiecze.

W 1690 roku we Frankfurcie wydana została książka łacińska pt. „Kobieta nie jest człowiekiem”, a w 1753 roku w Lipsku: „Dowód, że kobiety nie przynależą do rodzaju ludzkiego”. Takie wątpliwości również w Polsce długo żywiła myśl męska. Nie ma niestety źródełowych śladów czy drezczyły się tą opinią ówczesne kobiety, bo one same w tym zakresie żadnych swych myśli potomości nie przekazywały.

Na wielkich przestrzeniach kobiecej przeszłości widnieją prawie wyłącznie przedstawicielki władzy i tronu lub takie, których asceza lub zbrodnia ponad szczyzną tła ogólnego wyniosły. Nie wiemy prawie nic o kobietach-chłopkach i niewiele o mieszczańkach. Nasze Cudki, Ofki, Krainy, Wisienki, Tomki, Sandechny i Dobrochny, Kachny i Anusienki nie zapisały się niczym w pamięci

potomnych. Długo u nas trwało to ciemne średniowiecze kobiet trzymanych z dala od życia społecznego, politycznego i kulturalnego. Los ich był niezwykle ciężki. O kobiecie mówiono, iż nie ma potrzeby niesienia jej nawet pomocy lekarskiej, bo i tak „płeć żeńska to złe ziele, które szybko rośnie”. Sama więc przedsiębrała samodzielne poszukiwania środków leczniczych. Kroniki mówią, że w 1278 roku mieszkała w Poznaniu kobieta, którą akta nazywały Joanna Medica — lekarka. Ze względów wstydlwości niewiasty pozbawione były zupełnie pomocy męskich lekarzy. Warunki położowe były tak straszne, że więcej umierało kobiet przy wydawaniu na świat dzieci, aniżeli rycerzy ginęło na wojnie.

Te pierwsze próby poznania przyrody, idące głównie w kierunku zielarstwa, śledągnęły na kobiety zarzut czarownictwa. Ież to zdolnych kobiet, znających sztukę leczenia ziołami, oskarżonych o czarodziejstwo zginęło na torturach. Historyczna zasługa reformacji pozostanie nie tylko, że przyczyniła się do krzewienia języka ojczystego w Polsce, lecz również że otworzyła pierwszą, chociaż wąską furtkę kobiecie do piśmiennictwa polskiego. Mieszczka z Leszna w Wielkopolsce, córka pastora Braci Czeskich — Anna Mamorata, podpisująca się Virgo Polona — dziewczyna polska, urodzona

w 1615 roku, pozostawiła 10 dobrych utworów pisanych wierszem łacińskim i drukowanych w Lesznie w 1641 r., a przedrukowanych następnie w 1895 r.

Jeżeli ukazywały się utwory kobiet treści świeckiej to bezimiennie, gdyż nie miały odwagi wydawać i publikować swych polskich utworów. Nieliczni byli pisarze postępowi, którzy ganiłi odsuwanie kobiet od nauki. Andrzej Gabler z Kobyliny, dedykując w 1535 r. Hedwidze z Kościelca swe dzieło „Gadki o składności członków człowieczych” pisał, że „mężowie, bojąc się swej sławy utracić, aby biogłowy rozumem ich nie przechodziły, bronią im piśmna głębokiego, chyba modlitwa a paciorków”. Dzieje więc naszej kultury długo, długo nie wykazują kobiet wiedzy świeckiej oddanych.

Okres Oświecenia niewiele zmienił w wychowaniu kobiet. Mamy jednak do zainicjowania wystąpienie światła reformatora polskiego Fr. Bielińskiego, który w 1775 r. wystąpił z żądaniem nowej obywatelskiej roli dla kobiety polskiej, dawał rady dotyczące wychowania, nie tylko szlachcianek, lecz również mieszczanek i chłopek. Myśli tej wtórował Adam Czartoryski i Grzegorz Piramowicz.

Mimo tych silnych głosów literatury i opinii społecznej w ciągu dwudziestolecia działania Komisji Edukacji Narodowej nie dotknęła ona reformy szkolnictwa żeńskiego.

Zbyt silnie ciążyło nad umysłami średniowiecze polskie, aby mógł nastąpić radykalny przełom. Nawet wielka rewolucja francuska nie przełamała upośledzenia kobiet. Dopiero za czasów najnowszych, kobieta francuska zdobyła pełne prawa polityczne. Utrata niepodległości narodu polskiego spowodowała, że kobieta coraz silniejszy zaczęła brać udział w życiu politycznym, na równi z mężczyzną broniąc swej ojczyzny. Stopniowo coraz więcej pojawia się działaczek postępowych. Historia zapisuje coraz świetniejsze imiona kobiece. Aż nadchodzi czas, gdy z ciałą wymawiamy takie imiona jak Róża Luksemburg, Stefania Sempołowskiej, Orzeszkowej, Konopnickiej i wielu, wielu innych które nie tylko chciały wyzwolić kobietę z zacofania i poniżenia, ale cały naród postawić w rzędzie najpostępowszych narodów świata.

Najświatlejsze umysły niewieście wieków ubiegłych nie mogły nawet marzyć, że przyjdą kiedyś takie czasy w Polsce, gdy równouprawnienie kobiet będzie rzeczą zupełnie naturalną i kobieta zajmie równorzędne stanowisko w każdej dziedzinie naszego życia.

Te zdobycze znalazły swój piękny wyraz w projekcie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która koronuje dzieło długiej walki o pełne równouprawnienie kobiety w Polsce.

JANINA KUNCEWICZOWNA

Pierwsze powstanie chłopskie w Wielkopolsce

Dochodzi już 570 lat od pierwszego większego powstania chłopskiego w Wielkopolsce, skierowanego przeciwko wyzyskowi i uciskowi panów feudalnych. Świadczy o tym, wbrew opinii polskiej historiografii burżuazyjnej, o burzliwym rozwoju stosunków feudalnych w Polsce.

Powstanie chłopskie w Wielkopolsce przypada na lata wojny domowej 1382—1385 prowadzonej przez dwa potężne rody magnackie Nałęczów i Grzymaliów. Wzajemne zniszczenia i olbrzymie koszty wojenne wyrównali sobie magnaci wielkopolscy poprzez zwiększanie wyzysku chłopów. Wobec chłopów stosowano również ciężkie prawa wojny domowej, grabiąc ich mienie i zabierając im przemocą w znojem trudzie wyprodukowane plony. Rabowano dosłownie wszystko. Największym nieszczęściem dla chłopów było uprowadzanie ich przez zwalczające się strony. Dziesiątki wieś w ten sposób zupełnie opustoszało. Uprowadzonych chłopów pozabawiano jakiegokolwiek dobytku i majątku. Traktowano ich jak niewolników.

Inną plagą, spadającą na ówczesnych chłopów, było odrywanie ich przemocą od normalnej pracy i zmuszanie do dawania podwód dla przewożenia zdobytch łupów. Mało tego! Zmuszano siłą chłopów do służby wojskowej, wcielając ich w szeregi piechoty. W ten sposób uzupełniali sobie feudalowie wyszczerbioną w walce oddziały. Rycerstwo szlacheckie służyło tylko w jeździe i było dobrze uzbrojone. Oddziały piechoty uzbrojone były prymitywnie i nie wyróżnione w rzemiosło wojennym. Tych chłopskich oddziałów używano do robót fortyfikacyjnych, zdobywania grodów i warowni. Ginęli wtedy masowo w bitwach i potyczkach w interesie dumnych i zaciętych panów. Bywało, że rycerskie oddziały konne wycinały w pień piechotę chłopską. Współczesny kronikarz Janek z Czarnkowa mówi o tych oddziałach chłopskiej piechoty, że zastępy stronników składały się z pospólstwa szlacheckiego, jak też ze znacznej ilości owych plebeorum (plebejuszy - chłopów), których nie brakło przy rozprawach orężnych. Tymczasem w jednym tylko oddziale wojskowym Wierzbicy z Smogulca było do 500 piechurów. Kilka tysięcy chłopów było w ten sposób przynusowo wcielonych do oddziałów zwalczających się stron. W potyczce pod Piotrowkiem (w okolicy Szamotuł), „zginęło wiele pospólstwa” spod proporców bogatych Nałęczów.

Szczególnie ciężkie było położenie chłopów w dobrach Grzymaliów i Nałęczów. Tak np. Nałęcz Mikołaj z Wencelji (pow. żniński) już na kilka lat przed wojną domową uciskał i wyzyskiwał chłopów w szczególnie bezwzględny sposób. Sasiadując z posiadłościami swych dalekich krewnych Szamotulskich, najężdża w roku 1364 chłopów gospodarstwa na obszarze

ka lat przed wojną domową uciskał i wyzyskiwał chłopów w szczególnie bezwzględny sposób. Sasiadując z posiadłościami swych dalekich krewnych Szamotulskich, najężdża w roku 1364 chłopów gospodarstwa na obszarze

ne w znacznej liczbie na nadgrodziu warowni Ostroróg „liczne rzesze bezbronných i ujętych na podgrodziu” Domaratowi ludzie przy wycofywaniu się wymordowali bez najmniejszych skrupułów moralnych, puszczając jeno



Szamotuł (Starych), o co toczą się długie procesy z Mikołajem, nazwanym przez chłopów „Krwawym Diabłem”. Takie najazdy niszczycielskie i uprowadzanie stały się największą plagą. Chłopi płacili mieniem i krwią. Np. przy pustoszeniu 6 wsi tegoż Mikołaja-Grzymalić poczynali sobie jak „wrogowie”. „Konie, bydło, wszelkie zwierzęta oraz wszelki sprzęt domowy na wozy chłopieksie nałożony, za sobą uprowadzili, nawet odzież niewiastom tak szlachetnym jak i ubogim zabrali!”

W wielu wypadkach mordowano bezbronných chłopów. Działo się to przeważnie wtedy, kiedy pośpiech nie pozwalał na uprowadzenie jeńców. Tak np. zgromadzo-

wolno obrabowanych, bogatszych ziemian.”

W przewlekłej wojnie domowej, w stanie ogólnej anarchii i bezprawia zacieśniły się bezprawy solidarności chłopiekskiej. W obronie własnego mienia i życia dochodziło do wybuchu lokalnych powstań chłopiekskich w tych okolicach, w których najbardziej szalała rozbójnicza ruchawka magnacko-szlachecka, gdzie rozciągały się posiadłości Grzymaliów i Nałęczów, Pałuki, dorzecze Weli, Welenki, ziemia szamotulska, okolice Międzybuzia, Grodziska, Buki i Zbąszynia. Wszędzie tutaj chłopie powstał w roku 1384 przeciwko panom, pałac w odwecie siedzieli pańskie. Oddziały chłopie kry-

ły się po lasach, skąd dokonywały śmiałych wypadów. Rozpoczęła się samorządna, nieorganizowana partyzantka. Do najkrwawszych walk doszło w okolicach Wronki, Szamotuł i Grodziska Wlkp.

Bracia Ptaszkowscy ze swych zamków w Zbąszyniu i Kębłowie najechali w łupieckiej wyprawie okolice Grodziska i Buki, ograbiwszy doszczętnie w okolicy włoski chłopiekskie. W zorganizowanym napadzie odwetowym chłopie odebrali zrabowany im dobytek i ścigali napastników, w myśli statutu o pogoni rabusiów, aż prawie pod Zbąszyn. Przestraszeni rycerze-rozbójnicy uciekali w popłochu, by jak najprędzej dopaść zamku zbąszynskiego i uratować życie przed zemstą ludu. W czasie pościgu wielu z nich wzięto do niewoli, a kilku zabito. Oddział powstańczy chciał całkowicie wypędzić napastników szlacheckich, stąd taki długi, wytrwały i zorganizowany pościg. Ściągnięta naprędce przez zagrożonych Grzymaliów pomoc z dwóch zamków — Zbąszynia i Kębłowa — doprowadziła do krwawego stłumienia „rozruchu” chłopiekskiego. Wzmocnieni rycerze-rozbójnicy, uznający tylko „prawo pieści”, poparli solidarnie nawet przez swoich szlacheckich przeciwników, natarli z „wielką gwałtownością” na chłopów. Doszło do bitwy w otwartym polu. Przeszło 160 kmieci legło trupem na pobojowisku. Jeszcze większa liczba odniosła śmiertelne rany i popadła w niewolę. Lżej ranni i reszta zdrowych uszła, ukrywając się wzdłuż drogi odwrotu. Prymitywnie uzbrojeni i niedoświadczeni w rzemiosło wojenne wieśniacy, ulegli dobrane uzbrojonej szlachcie.

Powstanie chłopiekskie, w niektórych okolicach bardzo gwałtowne i krwawe, było najwcześniejszym, większym wystąpieniem chłopiekskim w Polsce feudalnej. Miało ono charakter samoobrony. Wpłynęło jednak w duży stopień na zaprzestanie wojny domowej w Wielkopolsce. Obawiano się bowiem rozszerzenia buntu chłopiekskiego. Wspólne niebezpieczeństwo ze strony chłopów pogodziło zwaśnionych możnowładców i szlachtę wielkopolską.

Książki, które warto poznać

Salamambo

„Książka i Wiedza” — Warszawa 1950. Przekład z francuskiego Wacława Rogowicza. Str. 368 cena 10,50 zł.

Tematem powieści Flauberta jest bunt wojsk najemnych będących w służbie starożytnego Kartaginy. Po zakończeniu pierwszej wojny punickiej (241 r. przed n. e.), zwycięskiej dla Rzymu, w Kartaginie rozpoczęły się zamieszki. Żołnierze, którym rząd kartagiński nie wypłacił należnego żołdu, wszczęli powstanie. Przyłączyli się do nich niewolnicy i mieszkańcy zależnych od Kartaginy ziem w Afryce. Powstanie trwało przeszło trzy lata, a szanse zwycięstwa były raz po tej, raz po tamtej stronie. Dopiero kiedy na czele armii kartagińskiej stanął zdolny dowódca, Hamilkar Barka, powstanie udało się stłumić. Na to tło rzucił Flaubert niezwykle ciekawą i piękną koncepcję tragicznych losów, córki sułtana Hamilbara — Salamambo.

Flaubert (1821—1880) pisał o sobie, że pracował po 10 godzin dziennie, przykuły jak galernik do swego biurka, przy czym wysiłkowi duchowemu towarzyszył zawsze ogromny wysiłek fizyczny autora. „Flaubert czynił wrażenie człowieka podnoszącego ciężkie warstwy ziemi, by się dokopać jakiegoś żdźbła czy ziarna, które czuł wewnętrznym instynktem” — pisał jeden z jego biografów. Przedwcześnie też wyczerpał swój mózg i serce i padł nagle rażony atakiem apopleksji w niespełna lat 59.

Kiedy postanowił napisać „Salamambo”, nie tylko przedstawił całą możliwą literaturę przedmiotu, ale odbył podróż na miejsce. „Przemie-

rzył — jak pisze jego biograf — wzdłuż i wszerz okolic starożytnej Kartaginy, od rana do nocy wleźli się konno po bezdrożach, policzyli wszystkie pagórki, spamiętał wszystkie wschody i zachody słońca, sypiał pod namiotami Beduinów, przy wyciu szaleńców”. A zanim przystąpił do napisania książki, opracował najpierw skrupulatnie, z niezwykłą precyzją i szczegółami plan powieści — że już sam konspekt mógł uchodzić za niemal wykończone dzieło. Nie więc dziwnego, że „Salamambo” jak i inne powieści Flauberta („Bauvard i Pecuchet”, „Pan Bovary”) są arcydziełami.

Jest jednak szereg innych przyczyn, które złożyły się na tak wysoką ocenę tego dzieła. Przede wszystkim realizm — namietność w ukazywaniu imperialistycznego systemu rodzącego swego grabarza, nieustanne dążenie do prawdy, żywej i odczutej głęboko, prawdy o bujnym życiu kraju wschodu i południa. A wszystko to napisane przepięknym barwnym językiem, ściśle odpowiadającym treści dzieła, bo nie bez celu umieścił Flaubert jako motto słowa: „Trzeba poprzez piękno uczynić i prawdę mimo wszystko żywą”.

W książce tej znajdzie czytelnik nie tylko godziwą rozrywkę interesującą się losami jej bohaterów, lecz pozna przede wszystkim jak żyli i waleczyli nasi starożytni przodkowie, o których jedynie suche relacje przekazała nam historia.

Marian Jurkowski

Cenne wydawnictwa Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Badawczo-twórcza praca Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk mało jest znana szerszemu ogółowi. Towarzystwo jest jednym z ośrodków wiedzy polskiej w na-

szym kraju i wkład poznańskiej placówki naukowej do naszego dorobku kulturalnego mówi o jej dużej żywotności. Zasięgiem swym PTPN obejmuje nie tylko zagadnienia regionalne, ale posiada szerokie zainteresowania, wykraczające daleko poza Wielkopolskę a nawet nasz kraj. Do takich pozycji należy np. praca Wacława Cimochowskiego z dziedziny językoznawstwa albańskiego pt. „Le dialecte de Dushmani”. Jest to cenny wkład nauki polskiej do albanologii. Inna praca wydana przez PTPN prof. Tymienieckiego pt. „Ziemie polskie w starożytności” uzyskała nagrodę Warszawskiego Towarzystwa Naukowego i wywołała duże zainteresowanie uczonych radzieckich. Dla świata lekarskiego cenną pozycję stanowi praca dr. Stefana Kubickiego, adiunkta II Kliniki Wewnętrznej Akademii Medycznej o patologii wątroby w świetle badań biopiecznych.

Ważnym przyczynkiem do opracowywanego przez omawianą instytucję problemu stepowania Wielkopolski będzie praca A. Krawiecowej pt. „Analiza geograficzna flory synantropijnej miasta Poznania”. Z innych publikacji naukowych należy wymienić pracę „O rozprzestrzenieniu czynnika Rh w ustroju ludzkim” — dr J. Siomskiej, „Zagadnienia ołowicy w przemysle” — dr J. Kopiczyka oraz XIII tom Roczników Dziejów Społeczno-Gospodarczych.

W druku znajduje się obecnie 10 wydawnictw, a wśród nich także cenne pozycje, jak „Kazania gnieźnieńskie” z XIV wieku, „Konstytucje sejmiku grodzkiego 1793 r.” w opracowaniu prof. Zdzisława Kaczmarczyka.

W druku znajduje się również monumentalna monografia Wielkopolski, duże dzieło, oparte na skrzętnie zgromadzonym materiale terenowym. Pracuje nad nim 14 osób, pod kierunkiem prof. Krygowskiego.

Który wydział Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk, a mianowicie filologiczno-historyczny, historii i nauk społecznych, matematyczno-przyrodniczy i lekarski opracowują obecnie 44 zagadnienia naukowo-badawcze z udziałem 218 uczonych. (Stes)

Dr T. Nożyński

Od Atlasa do Lowelasa

(O pochodzeniu pewnych wyrazów)

W języku polskim, podobnie jak i w innych, istnieje wiele wyrazów, które mają interesujący rodowód. Używając ich codziennie nie zawsze znamy ich pochodzenie. W niniejszym szkicu omówimy niektóre wybrane wyrażenia i określenia utworzone z nazwisk ludzi, którzy od dawna już nie żyją lub istnieli tylko w fantazji pisarzy i w legendzie. Wiele z tych wyrazów pochodzi ze starożytności, inne zaczerpnięto ze średniowiecza i z nowszych czasów.

Wszyscy nazywamy adwokata mecenasem. Skąd wziął się taki niezwykły tytuł? Ten „mecenasa” pisał się przed 2000 lat przez duże M (Maeceenas), jako nazwisko znanego bogacza rzymskiego, przyjaciela ces. Augusta i opiekuna literatury i sztuki. W epoce Renesansu nazywano mecenasami wybitnych ludzi, książąt, biskupów etc., którzy popierali materialnie artystów i uczonych i gromadzili dzieła sztuki. Skojarzenie meceenas - adwokat jest właściwe tylko językowi polskiemu i to od I połowy 19 wieku, kiedy obrońcy przy Sądzie Najwyższym w Królestwie Kongresowym otrzymali z urzędu tytuł meceenasów. W ten sposób starożytny Maeceenas stał się mecenasem czyli zwykłym, potocznym wyrazem.

Mistrz Ludwik Solski jest nestorem sceny polskiej. Nestor oznacza najstarszą osobę w pewnym ześpolu i jest właściwie imieniem (Nestor) najstarszego z Achajów pod Troją (zob.

Homera Iliadę). W tym samym znaczeniu używa się często słowa matuzalema, wziętego z tekstu Biblii jako imię starca, który według rachuby biblijnej żył blisko 1000 lat.

Nie jeden z czytelników jest zapewne zapalonym nemrodem czyli myśliwym. Postać o imieniu Nemrod lub Nimrod istnieje również w Biblii jako król chaldejski i „potężny myśliwy”. Wielkich bogaczy (np. miliardierów amerykańskich) nazywamy często krezusami. Praworem jest starożytny król małaazyjski Kresus (ok. 550 lat przed n. e.), słynny z olbrzymich bogactw, które później stracił w wojnie z Persami.

Imienia mitologicznego bohatera Atlasa, który dźwigał na barkach kulę ziemską zaczęto od wieku 16 używać jako nazwy dla zbiorów map geograficznych i tak z olbrzymia Atlasa powstał zwykły papierowy atlas.

Starożytność dała nam dwa określenia ludzi niesympatycznych. Jedno to zoil, typ uszczepionego zrędy, (Zoilos, filozof starożytny był ostrym i niesprawiedliwym krytykiem utworów Homera, wyszydzanym przez współczesnych mu Greków). Drugie — to przysłowiowa ksantypa, zła i okrutna żona. (Ksantypa była podobno żoną sławnego filozofa Sokratesa).

Dwa imiona, jedno starożytne a drugie średniowieczne, stały się tytułami władców. Juliusz Cezar, wódz i dyktator rzymski utrwalił się w językach świata jako

cesarz, cesarz (w skrócie car) i niem. Kaiser. Słowiańskie zaś wyrazy król, kral, korol pochodzą od imienia ces. Karola Wielkiego (768—814), który dla ludów słowiańskich był dalekim, prawie legendarnym symbolem potęgi i władzy.

Ze średniowiecza wywodzi się też sówizdrzał (łobuz, psotnik, figlarz raczej wesoły niż złośliwy). Jest to dosłowne tłumaczenie nazwiska niemieckiego wagaundy Tilla Eulenspiegla z 14 wieku, którego przygody, spisane w wieku 16, znano i w Polsce. Sowi żrał to „sowie zwierciadło” czyli niem. Eulenspiegel.

Rzecz nierealna i niewykonalna nazywamy utopią. Utopia to nazwa fantastycznej wyspy w dziele angielskiego humanisty Tomasza More (1480—1535) o projekcie najlepszego ustroju państwa. Utopia to wyraz starogrecki o znaczeniu „nigdzie”. Z czasem stał się on pojęciem czegoś nieistniejącego i niemożliwego.

Do codziennego naszego słownictwa przeniknęła też pewna ilość nazwisk różnych bohaterów utworów literackich i legend, np. molierowski Harpagon — skąpiec albo Tartuffe — obłudny świętoszek. Z powieści Cervantesa „Don Kichot” zrodziła się popularna Dulcinea w znaczeniu wybranki serca, w całym zaś świecie rozpowszechniły się dwa słowa: donżuan (falszywie, powinno być don Juan) i lowelasa, typ awanturniczych amantów i poszukiwaczy romantycznych

przygód. Don Juan to legendarna postać z życia dawnej Hiszpanii, unieśmiertelniona w operze Mozarta, poemacie angielskiego poety Byrona i dramacie hiszpańskiego pisarza José Zorilla. Pierwotnym lowelasa jest Lovelace, bohater powieści angielskiego autora z 18 wieku S. Richardsona pt. „Clarisse Harlowe”.

W sztuce spotykamy wyraz sylweta lub sylwetka (portret czarnej barwy na jasnym tle, bardzo popularny w 18 wieku). Wiąże się on z nazwiskiem francuskiego ministra finansów Stefana de Sillhouette (zmarłego w roku 1767), który uciskał ludność podatkami i był karykaturowany jako czarna postać gniebiciela lub diabła.

I jeszcze na zakończenie dwa określenia: Wuj Sam i John Bull (Jan Byk). Pierwsze oznacza Amerykanina, drugie Anglika a znane są w całej Europie.

Wuj Sam (Uncle Sam) to według jednej wersji żartobliwe uzupełnienie skrótu U. S. (United States), wedle innego wyjaśnienia pochodzi od Samuela Wilsona kupca amerykańskiego z pocz. 19 wieku, który był dostawcą wojskowym i swe przesyłki znakował monogramem państwa „U. S.”, co żołnierze tłumaczyli Uncle Sam od imienia Samuel.

John Bull zaś, jako uosobieńie przeciwnego typu Anglika, jest pomysłem angielskiego literata Jana Arbuthnot (1658—1735), autora satyry politycznej pt. „History of John Bull” wyd. w r. 1712.

O wszystkim no trochu

Czy można klepać metale?

Od niepamiętnych czasów używali ludzie klejów w najróżnorodniejszych postaciach. Wiemy dobrze, że lepiąc balwana skleamy śnieg wodą, która zamarzając stanowi doskonały klej. Również gлина czy beton są swego rodzaju lepszymi klejami. Szeroko znane są kleje w przemyśle drzewnym i papierniczym, mniej słyszane o sklepaniu szkła, czy żelaza. Tymczasem radziecki uczonec prof. Nazarov wynalazł klej zwany „karbinolem”. Klej ten z bardzo dużą wytrzymałością łączy metale i co ciekawe — klej je na zimno.

Żelazo w organizmie ludzkim

Żelazo jest składnikiem niezbędny do prawidłowego działania ustroju ludzkiego. Ilość żelaza oceniana jest na około 5,5 g, co stanowi 0,005 proc. ciężaru ciała. Każda komórka ustroju zawiera niewielką ilość żelaza, która potrzebna jest do oddychania komórkowego. Wszelakom, że żelazo w tkankach ustroju wskazuje na wielką rolę tego pierwiastka w przemianie materii. Bez żelaza niemożliwe byłyby procesy utleniania i odżywiania. Żelazo sprzyja ponadto wzrostowi osób młodych.

Znaczenie miczurinowskiego „Mentora“

Droga do otrzymania dziesiętnych, wspaniałych owoców była bardzo uciążliwa. Człowiekowi z Neanderthalu czy też wyżej zorganizowanemu przodkowi rodzaju ludzkiego wystarczały te drzewa owocowe, które rosły w lasach, jako samosiewki. Nie znali oni jeszcze praw genetyki formalnej o zmienności osobników, otrzymywanych z nasienia. Jednakże dość wcześnie zauważyli, że każde drzewko — siewka jest inne, że są drzewa, które rodzą owoce dobre oraz takie, których owoc jest niesmaczny. Doszli do przekonania iż jednym ze sposobów otrzymywania dobrych owoców jest wybór najlepszych siewek i zgrupowanie ich w jednym miejscu, z daleka od drzew rodzawych owoców marnej jakości. Tym sposobem nasi przodkowie znaleźli się w posiadaniu sadków — siewek, zgrupowanych w pobliżu domostw. Uprawa gleby i pielęgnacja powodowały, że owoce przybierały na wadze i wartości smakowej. Ilekroć wysiewali siewki, aby otrzymać nowe odmiany, tylekroć nie osiągnęli spodziewanych rezultatów.

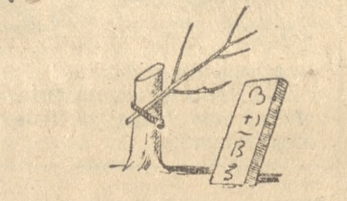
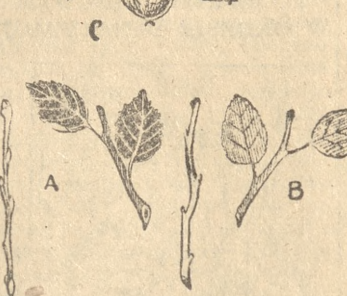
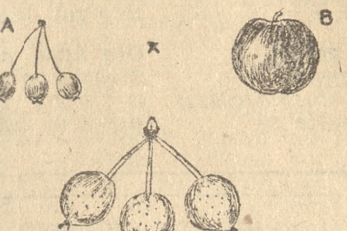
Ten okres dziejów człowieka w dziedzinie sadownictwa charakteryzuje typowe korzystanie z „darów przyrody“. Człowiek na niskim stopniu kultury mógł być tylko biernym obserwatorem otaczających go zjawisk.

Dopiero wynalazek szczepienia (rycina) pozwolił naszym przodkom na niezależenie się od kapryśnych przyrody. Mogli oni rozpowszechniać wartościowe samosiewki drogą wegetatywnego rozmnażania tak, jak chcieli. Praktyczny wynalazek szczepienia był takim samym przewrotem w sadownictwie jak wynalazek koła w technice.

Te osiągnięcia praktycznego ogrodnictwa nie tylko nie uzyskały poparcia, ale zostały zahamowane przez naukę formalną, dla której zjawiska zachodzące w organizmie, powstające z wegetatywnego pięciennia zrazu i podkładki wydawały się zbyt skomplikowane. Dopiero agrobiologia radziecka, opierając się na pracach Miczurina, zwróciła uwagę na zagadnienie mieszańców wegetatywnych, jako na niezmiernie ważny atut człowieka w dziele przeobrażenia przyrody. Miczurin dokładnie przestudiował prawa Mendla i próbował je zastosować do drzew owocowych, jednakże stwierdził, że rośliny wieloletnie, do których należą drzewa, zachowują się zupełnie inaczej niż rośliny jednoroczne, jak np. groch używany w mendlowskich krzyżówkach. Miczurin sam przyznał, że stracił dużo czasu, hołdując poglądom zachodnio-europejskim, zanim doszedł do stworzenia swoich oryginalnych teorii naukowych. Podjął otrzymywanie nowych odmian posługując się krzyżówkami nasennymi powstałymi z wzajemnego zapylania się kwiatów. Z pasją prawdziwego badacza obserwował zachowanie się młodych roślinek od najmłodszych lat (mówimy o wieloletnim drzewie owocowym) i racjonalnie notował sposób ich reagowania na warunki otoczenia. Doszedł do przekonania, że o wiele wcześniej, niż dotychczas sądzono, można rozpoznać wartość przyszłej odmiany (rycina). Nie odrzucał krzyżówek nasennych traktując je jako źródło zmienności cech poszukiwanych w nowej odmianie, ale starał się pokierować ich rozwojem — podobnie jak matka kieruje rozwojem fizycznym swych dzieci — przez właściwe żywienie i stwarzanie odpowiednich warunków bytowania dla roślin stał się dlań młodych (stała się faza Miczurin wyróżnia rozmaite stadia rozwojowe u drzew podobnie jak u człowieka).

W jaki sposób Miczurin wychowywał swoje młode roślinki? Przez dostarczanie rozmaitego rodzaju pożywienia i stwarzanie odmiennych warunków otoczenia. Drzewko pobiera pokarm z gleby, Miczurin

zmieniał glebę, dając żyzniejszą lub bardziej ubogą, zależnie od tego, jak chciał pokierować zmianami eech u nowych roślin, czy je hartować czy też wydelikatniać itd. Najlepsze



rezultaty w kierowaniu rozwojem młodych drzew otrzymywał przez zastosowanie metody „Mentora“, czyli tak zwanego wychowawcy.

Co to jest mentor? Czy może nim być młoda roślina? Czy dzieci mogą wychowywać starszych? Na pewno nie. Zawsze będzie odwrotnie, starsi będą mieli wpływ na dzieci. To sa-

mo jest u drzew owocowych. Tylko starsza odmiana o ustalonych cechach, widocznych przez kilka lat jej owocowania, może kierować zmianami zachodzącymi w młodej roślinie tak, jak oczekuje tego hodowca. Co robi Miczurin? Wykorzystuje do prac hodowlanych stosowany od dawna przez ogrodników wynalazek szczepienia. Odmiana starsza, już owocująca jest u niego tym wychowawcą-mentorem. Na niej szczepi młode roślinki, które będą żywione przez „mamkę“. Zachodzi teraz pytanie, czy kondycja mentora będzie miała wpływ na rozwój młodej rośliny? Czy na mamkę lub dawcę krwi wybieramy ludzi słabych? Nie. Podobnie jest i u drzew owocowych. Na mentora — wychowawcę wybieramy odmianę wytrzymałą na mróz, silnie rosnącą, obficie owocującą itp., a to w tym celu, aby przekazywała te cechy żywionemu przez siebie organizmowi. A jak było dotychczas w hodowli nowych odmian owoców? Korzystano z przypadków lub też stwarzano specjalne doboru rodziców, wychodząc z założenia, że potomstwo „szlachetnych rodziców“ zawsze będzie szlachetne. Drzewa owocowe były pierwsze, które zaprotestowały przeciw takim poglądom. Okazało się, że szlachetne odmiany mają tendencję do wydawania „dzikusów“ o tak zwanych atawistycznych cechach.

Tak jest u drzew owocowych, gdzie cechy atawistyczne wyszły na jaw wcześniej dlatego, że sadzone w otwartej przestrzeni drzewa przez wiele lat ulegają o wiele większym wpływom otoczenia, aniżeli izolowane od warunków zewnętrznych środowiska wychowu ludzi czy też zwierząt domowych. Miczurin w ciągu swej niezmordowanej działalności badawczej sprawdził drogę pierwotnego człowieka i hodowców — morganistów, wziął od nich wartościowe zdobycze, a więc zaważony przez pierwotnego człowieka wpływ siedliska na kształtowanie się cech odmianowych i celowe krzyżowanie, jako źródło zasadniczej zmienności. Odrzucił wszelki fatalizm, do którego zaliczał mendlowanie się „nieśmiertelnych cech“ niezależnie od czynników zewnętrznych i woli człowieka. Stworzył nową, lepszą metodę hodowli odmian owoców, dostarczając o wiele szybciej pożądaných wyników.

W Szczawnie-Zdroju nocne są spokojne

Cisza nocna zalega pawilony sanatorium zdrojowego w Szczawnie-Zdroju. Nagle przerywana jest dźwiękami dzwonka. Dyżurna pielęgniarki biegnie korytarzem.

— Siostrzko, atak — szczy pacyent.

To astma, której ataki przychodzą nieoczekiwanie — nocą. Co wtenczas robić? Zastrzyki częstokroć zawodzą.



Nie zawsze pomagają krople uśmierzające... Chory mężczy się godzinami. O, gdyby tak mieć inhalator, który natychmiast przerywa atak...

Na tym symym piętze ktoś inny wzdycha do urządzenia, pozwalającego na stosowanie wiewań. Ktoś w sąsiednim korytarzu myśli o inhalatorze do penicyliny...

Ludzie cierpiący na schorzenia górnych dróg oddechowych, a przebywający w zakładach zdrojowych w Szczawnie, korzystają ze wspaniałych urządzeń leczniczych. Przeważnie leczą się tu górnicy, zajmujący miejsca w wielkiej komorze pneumatycznej, w której powoli spada ciśnienie powietrza. Jeden z górników zakłada na twarz maseczkę inhalatora. Rozpylona penicylina zbawczo wpływa na przebieg leczenia zawodowej choroby górników — pylicy. — Któryś z hutników wchodzi uśmierzający do wielkiej sali, gdzie otulone jest wszystko gęstą mgłą rozpylonej wody ze źródła „Mieszko“. Oddychanie jest tutaj przyjemnością.

Mijają godziny. Pacjenci po skończonych zabiegach idą na spacer. Wreszcie zapada noc. A w nocy może przecież nastąpić nowy atak astmy...

Następnego dnia pacjent, który miał w nocy atak, spotyka w korytarzu sanatorium kierownika zakładu leczniczego — Wiktora Kleję. Pacjent skarży się na nocne przypadłości, na bezradność

lekarzy i pielęgniarek. Nie pierwszy to wypadek!

Wiktor Kleja wie o tym. I myśli jak by temu zapobiec. Aby jednak chory mógł otrzymać natychmiastową pomoc, trzeba by przez całą dobę utrzymywać w pogotowiu wielki aparat zakładu leczniczego, albo zainstalować w pawilonach całą sieć urządzeń leczniczych. Inaczej



przecież nie da się tego problemu rozwiązać!

— A właściwie dlaczego nie można by inaczej? Można — mam pomysł! — Biegnie do jednego z produkujących mechaników — Władysława Mazurka.

Praca trwała długo. Kleja nieustannie kreślił, poprawiał i udoskonalał rysunki. Mazurek wyszukiwał części, piłował i spawał. Wreszcie pomysł został zrealizowany. Nowy aparat jest niewielki, bardzo dokładny i pozwala stosować trzy rodzaje inhalacji. Można nim leczyć astmę, przerywać jej ataki i stosować inhalację penicylinową.

Jeden taki aparat umieszczono już w reprezentacyjnym i największym pawilonie I, a drugi w sanatorium dziecięcym.

I teraz noc w sanatorium są już spokojne!

Najtrudniejsze było rozwiązanie problemu „ogonków“ — mówi Wiktor Kleja. Nasze wspaniałe urządzenia nie wystarczały, aby podołać potrzebom. Przecież zakład nasz budowano kiedyś dla garstki bogaczy i magnatów. Przyjeżdżali ich niewielu. Hotel Zdrojowy obliczony był na 80 osób. Dziś mieszka w tym budynku kilkuset chorych ludzi pracy... Nie więc dziwnego, że ilekroć schodzili się w zakładzie leczniczym — musiel długo czekać na zabieg.

Teraz nie ma już „tłoku“. Dzięki nowemu pomysłowi racjonalizatorskiemu Kleji każdy chory przychodzi na

określony czas dla dokonania inhalacji, czy innego zabiegu i nie potrzebuje czekać.

W uzdrowiskach dzieją się dziwy, o których zazwyczaj nie nie wiedzą pacjenci, a które sprawiają dużo kłopotów grupie pracowników Zakładu Balneotechnicznego. Wszystkie te dziwne, acz ciekawe zjawiska są najczęściej spowodowane przez naturę. Każde ze źródeł w Szczawnie Zdroju inaczej zachowuje się w czasie suszy, inaczej w czasie deszczów, inaczej wreszcie podczas opadów śnieżnych. Zdarza się więc, że następuje przybór wody, to znowu jej zanik. Niektóre warunki wysładzają wodę z żrdeł, inne wzmacniają koncentrat składników mineralnych.

Dlatego to zakłady dysponują nowymi urządzeniami, na które nie szczędzi się obecnie środków, pamiętając, że źródła lecznicze pozostają przede wszystkim w służbie ludzi pracy, górników, robotników i chłopów.

Ekipy badawcze zakładu przeprowadziły w ubiegłym roku w różnych częściach kraju szereg wierceń, w rezultacie czego wykryto nowe, bogate źródła, o ogromnej wartości leczniczej w Szczawnie, którą niedawno uważano za uzdrowisko zamierzające. Niezwykle ciekawe są wyniki badań w Zakopanem, gdzie natrafiono na żyły wody gorącej. W związku z tym w najpopularniejszej miejscowości wczasowej w Polsce istnieją możliwości wybudowania wielkich term. Być może, iż postawią one Zakopanem w rzędzie najstojniejszych uzdrowisk na świecie (nie tylko pod względem leczenia gruźlicy płuc). Wykryto także obecność cennych wód mineralnych w okolicach Nowej Huty i Łodzi — na terenach które do tej pory uważano za pozbawione takich źródeł.

Odkrycia te będą przedmiotem specjalnych badań i prac naukowców.

Marek Starski



Samochód, który w paliwo zaopatruje się w... lesie

Benzyna, ropa, gaz drzewny — to najczęściej stosowane materiały pędne dla samochodów. A czy słyszeliście Czytelnicy o samochodzie poruszającym parą? Niejednemu może się zdawać, że to przecież żadna nowość, ani rewolucja. Przecież zani wprowadzono silniki spalinowe — takie właśnie „parowe samochody“ były w użyciu. Wiedzy chyba mogą to być zabytki muzealne!

Nie podobnego. Stary pomysł rosyjskiego mechanika Polzunowa z XVIII wieku, udoskonalony przez wynalazcę W. Guriewa w początkach XIX stulecia — po „ysl „ładowego parowca“ — ciągnącego za sobą kilka ciężkich wozów, został obecnie w Związku Radzieckim udoskonalony. Dawniejszy wynalazca nie miał możliwości ulepszenia swego wynalazku, a na przeszkodzie temu stał między innymi zły stan dróg w carskiej Rosji. Obecnie sprawa przedstawia się całkiem inaczej.

W specjalnym naukowym instytucie badawczym NAMI opracowuje się i wypróbowuje coraz to nowe modele samochodów osobowych i ciężarowych. Coraz to inne konstrukcje silników i podwozi.

W NAMI skonstruowano wypróbowano również samochod ciężarowy o napędzie parowym. Konstrukcja jego jest niesłychanie prosta i dostosowana do warunków, w



jakich ma pracować. Największą jego zaletą jest to, że w paliwo można go zaopatruje... w każdym lesie. Paliwem jest bowiem zwykłe drzewo.

Pomysł używania drzewa jako paliwa także nie jest nowym. Jednak wozy o napędzie gazogeneratorowym wymagają specjalnego przygotowania drzewa, suszenia go, cięcia na drobne klocki. Przy tym do tego typu samochodów używać trzeba drzewa wartościowego, twardego. Inaczej jest z samochodem NAMI — 012. Duży, 6-tonowy wóz, mogący razem z przyczepami zabrać do 20 ton towaru, opalany może być drzewem sosnowym, pochodzącym wprost z wyrębu. Daje to możliwości poważnych oszczędności. Ten sposób zaopatrywania w paliwo, pozwala na używanie samochodu w najtrudniejszych warunkach, w okolicach od-

ległych od miast i osiedli, gdzie zaopatrzenie w benzynę powodowałoby trudności.

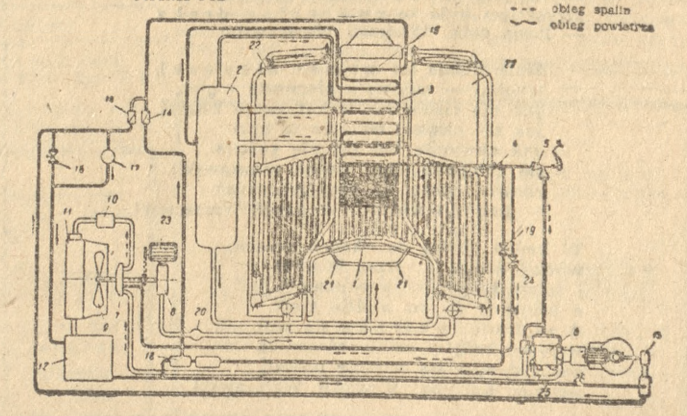
Prosta konstrukcja wozu pozwala na obsługiwanie go przez jednego tylko człowieka. Sam proces rozpalania kotła jest prostszy od rozpalania zwykłego pieca pokojowego. Elektryczny rozrusznik uruchamia dmuchawkę tłoczącą powietrze do paleniska, dzięki czemu nawet mokre drzewo szybko się rozpala. Już po kilku minutach działania — ciśnienie pary pod kotłem pozwala ra przełączenie dmuchawy na napęd przez turbinę parową. Uruchomienie samochodu następuje przy 12 atmosferach ciśnienia. Od momentu podpalenia kotła do ruszenia wozu upływa do 25 minut.

Cały zespół kotłowy działa samoczynnie, łącznie ze spalaniem drzewa do paleniska. W wodę, której zapas wynosi

około 200 litrów, dzięki posiadaniu pompy parowej, można się również zaopatrzyć w każdym źródle.

Silnik waży 700 kg. Jest on trzy cylindrowy o stojących pionowo cylindrach oraz tłokach obustronnego działania. Rozrząd pary odbywa się zaworami, jak w silniku spalinowym. Wał rozrządczy posiada kilka rodzajów garbów: do stopniowego napełniania cylindrów parą, do przedmuchiwania cylindrów, do pracy silnika w odwrotnym kierunku, potrzebnej do jazdy w tył. Silnik odznacza się bardzo dużym momentem obrotowym, znacznie większym, niż silnik spalinowy, dzięki czemu przyspieszenie szybkości po uruchomieniu motoru jest sprawne.

Schemat zespołu kotłowo-maszy nowego samochodu parowego NAMI-012



Normalna szybkość samochodu przy pełnym obciążeniu wynosi około 40 km na godzinę.

Obieg pary jest zamknięty, to znaczy że para wychodząca z silnika skrapla się w specjalnie chłodzonym turbinie skraplaczu i wraca jako woda do kotła.

Samochód zużywa zaledwie 4 kg drewna na kilometr, a jego wytrzymałość jest bardzo duża. Na obsługę zużywa się około 19% całego czasu jazdy.

Instytut NAMI ma znów na swoim koncie jedno osiągnięcie. Dostarczył krajowi nowy typ samochodu, zdolny pracować w każdych warunkach, tani, łatwy do obsługi, posiadający dużą nośność.

Irena Podolak-Ciesielska

Mąż i żona

Pewnego długiego zimowego wieczoru na zebraniu pracowników miejskich pan Michał słuchał referatu o pracy wśród kobiet.

— Tak, słuszna prawda — zgadzał się w duchu z referującym. — Tak, i ja jestem winien, bo nie zajmuję się wcale wychowaniem i uświadamieniem żony.

— ...i tak zazwyczaj bywa — ciągnął dalej referent — że mąż się rozwija, dokształca się i postępuje naprzód, a o żonie całkiem zapomina. Jestem pewien, że nawet między nami tutaj zebranymi znajdują się tacy, którzy...

Pan Michał omal nie schował się pod ławkę ze wstydu. Ale referent nie wymienił jego nazwiska.

— Rzeczywiście — pan Michał znowu oddał się kajającym oskarżeniom — jaki to, do diabła, jestem mąż! Sam się rozwijam, wyrosłem, jestem dyrektorem urzędu, pierwszy podpisuję urzędowe papiery, a rodzinę żonę nie poświęcam ani odrobiny uwagi. Muszę jeszcze dziś... ale co tam dziś, zaraz, natychmiast iść i porozmawiać poważnie z żoną.

— Przede wszystkim — rozumował po drodze — będę wcześniej przychodził do domu i w ten sposób wezmę pod kontrolę cały jej wolny czas. Po drugie: zatelefonuję do fabryki, w której żona pracuje i zapytam, jak ona wywiązuje się z obowiązków. Żądam, żeby ją wrzęli do pracy społecznej. Na początek poleć jej powierzyć mniejszą funkcję, powiedzmy, męża zaufania do ubezpieczalni albo kasjera przy zbieraniu składek członkowskich dla związków zawodowych. Nie byłoby od rzeczy wciągnąć ją do kółka szkolenia politycznego.

Zadowolony ze swojego postanowienia pan Michał łobuzersko mrugnął do ulicznej lampy i nucąc pod nosem: „Mieszkanko na Mariensztacie” przekroczył próg swojego mieszkania.



O, w ten sposób wypuszcza się atrament.

— Co ty dziś tak wcześnie? — przywitała go zdziwiona żona, pani Helena — i do tego jakby trochę podchmielony? Chuchnij!

— Nawet kropki alkoholu nie miałem w ustach, Helenko — bronił się małżonek. — Tak radośnie wyglądam tylko z... wrażenia. Wiesz do czego doszedłem, właściwie, na co stanowczo się zdecydowałem... zjemy wspólnie kolację!

— Mądre postanowienie — uśmiechnęła się pani Helena. — No, usiądź więc, a ja zastanowię się, co przygotować.

— To nie dotyczy tylko kolacji, ale... względem... ale najpierw daj kolację!

Gdy tylko pan Michał wstał od stołu i usiadł na otomanie, zaczęły się w jego głowie roić myśli o wychowaniu żony.

— Od czego by tu zacząć? — rozmyślał oparty o poduszkę. — Do teatru jest już za późno. A może spróbować do kina? Hm... ale jak iść? Teraz byłoby dość ciężko... Przecież nawet lekarze nie zalecają przechadzać się z pełnym żołądkiem, ale raczej pozostawić mu zupełny spokój.

Tak rozmyślając pan Michał nawet nie zauważył, jak jedna jego noga znalazła się na otomanie. Po chwili i druga ruszyła za swoją partnerką i po krótkim czasie obie były w żołnierskiej postawie: pięty razem!

— Na godzinkę, czy już może do rana? — zapytała pani Helena, patrząc na męża, który daremnie starał się utrzymać otwarte oczy.

Pan Michał odpowiedział jakimś niepewnym ruchem ręki:

— Ja tylko na chwilę.

— Znam ja już te twoje chwilki... Wiesz, Michale, dawno już chciałam z tobą porozmawiać... Zaczekaj, nie śpij, słyszysz?! Widzisz Michale, tu chodzi o twoją przyszłość. Jesteś dyrektorem, masz podwładnych, ale nie umiem sobie wyobrazić, jak ty ich wychowujesz? — Myślałem z lekkim, że w ogóle nie dokształcasz się. Nie czytasz, zapomniałeś drogi do kina, o teatrze już nawet nie mówię. Przyznam ci się Michale, że muszę się za ciebie wstydzić. Rozumiesz, Michale, wstydzić. W fabryce uważają mnie za przodującą pracownicę. Dziś wybrali mnie przewodniczącą rady zakładowej, a ty? Otrząśnij się z tej martwoty, proszę cię, i dokształcaj się! Gdy będziesz potrzebował mojej pomocy, chętnie ci pomogę.

Pan Michał zerwał się z otomany, jęknął, ale nie mógł nic wypowiedzieć: ze zdziwienia dech mu zaparło.

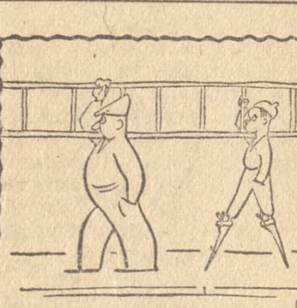
(J. K.)



Amerykańskie malarstwo



imperialistyczne



Bez słów

JANUSZ KSIĘSKI

Rodzinna atmosfera

W referacie tym czyłem się naprawdę jak u siebie w domu. Nie dlatego, abym tam zbyt często przebywał. Nigdy w życiu. Zjawiałem się tam przecież najwyżej trzy razy tygodniowo, a od dwóch miesięcy ograniczyłem swe odwiedziny do jednego razu tygodniowo. Czułem się jednak jak w domu i zupełnie innego powodu: Panowała w nim bowiem taka naprawdę miła, niezwykła niewymuszona rodzinna atmosfera.

Kiedy wszedłem do referatu po raz pierwszy, przez kwadrans stałem bez ruchu, jak oszołomiony. Wszyscy urzędnicy prowadzili bowiem młą pogawędkę na tematy ściśle rodzinne. I co najdziwniejsze, wszyscy byli w nich doskonale zorientowani. O ile się nie mylę, wszedłem tam po raz pierwszy w momencie, gdy wysmukły blondyn w barwnej krawacie i artystycznie rozczochanych na ramionach włosach, zwrócił się z pytaniem o zdrowie niejakiego Dyzia (rozkoszne, pięcioletnie dziecko — jak poinformowano mnie później) do czarującej platynowej blondynki. Zamiast nie odpowiedział kolega z przeciwnego końca pokoju, stwierdzając, że czuje się on (to znaczy Dyzio) doskonale. Czarująca brunetka z mocno wykarminowanymi w kształcie serduszka ustami dodała, że przecież „jej” siostrzeniec nie ma zwyczajnie chorować. „Tak, tak... nasza krew...” — dodała zgrabna blondynka, która była prawdopodobnie maszynistką (siedziała przy maszynie).

Słuchałem tego wszystkiego

najpierw lekko zdziwiony, później zdziwienie moje zaczęło wzrastać z każdą minutą, aż wreszcie po upływie pół godziny opuściłem szczęśliwie biuro, przez nikogo nie nagabywany o powód mego przybycia.

Jednak po dalszych wizytach rozszyfrowałem wszystkie tajemnice „zaczarowanego” — jak go początkowo w myśli nazywałem — referatu. Sprawa nie przedstawiała się zresztą tak bardzo zawiąkaną jak sądziłem. Po prostu czarująca blondynka (mamusia Dyzia) była córeczką kierownika referatu a kolega, który udzielił wówczas odpowiedzi zamiast jej, był jego zięciem i mężem blondynki. Druga urzędniczka (wykarminowane serduszko) była jej rodzoną siostrą, a blondyn o artystycznych włosach, wówczas był jej narzeczonym (pobrali się przed rokiem). Maszynistka była córeczką siostry kierownika, a druga maszynistka siostrą narzeczonego jego córki.

Jednak kilka dni temu, gdy znowu poszedłem do referatu, zaniemówiłem ze zdziwienia: same nowe twarze! Starszy pan, który siedział przy biurku męża pani Zuzi zapytał krótko, czego sobie życzy i po kwadransie wychodziłem już z biura ściskając pod pachą załatwione podanie.

Swoją jednak drogą trochę mi żal dawnego składu referatu. Taka tam panowała miła rodzinna atmosfera. A teraz?

Biurokracja i tyle.

Witold Degler

LIST OTWARTY

do niektórych instytucji w sprawie imprez artystycznych

W tej satyrze chcę wyświetlić dość ponurą stronę świetlic — i w krytyce dać po prztyku w nos niedbałym kierownikom!

Słyszac zbyt już częste kpiny, że w świetlicach pajęczyny — w firmie zgłasza się literat, oświadczając z miejsca, że rad wieczór dać albo przebiec... No i trafia na „obiekcje”!

Pan kierownik nacisk kładzie na trudności w tym zakładzie: „Piękny projekt! Tak — w zasadzie... Mamyspania! Świetlice, ludziom brak urozmaiceń — a tu idzie akcja z góry, żeby frontem do kultury —, gromi partia nudę zebranych i zebranych trzęsie febra —, ganią moje akademie, że chorują na anemię...

Więc się składa znakomicie, że z występem przychodzą! Wielki to dla firmy zaszczyt, że w świetlicy sennożycie chcecie dać zbawienny zastrzyk! Wszystko ładnie, pięknie, cudnie — lecz z realizacją trudniej...

Miał raz odczyt pewien lekarz — przyszło półtora człowieka! (Tutaj słówko wyjaśnienia: bo nie było ogłoszenia!...)

Raz taneczny przybył zespół — brak publiczności występ zepsuł! (Trudno — gdy w tym samym czasie kurs oraz wycieczkę macie!...)

Raz śpiewacy przyjechali — zafurzyli, pognali dalej! (Bo nie mogli śpiewać w sali, której wyjście nie ogrzało!...)

Więc od kilku już miesięcy nie ma żadnych imprez więcej! (Skąd w świetlicy taka kłapa? Bo kierownik kłep, fajtkłapa!...)

Zresztą imprez, drog panie, nie robi się na kolanie! Tego wcale nie ma w planie! A ja boję się ryzyka na posadzie kierownika!”

Zgłosił się autor na wiosnę... „Co? Widoki są żółte! Ach, na wiosnę trudu szkoda: słońce, miłość i przyroda!...)

Wybrał zatem autor lato... Co? Jakiż teraz sens ma to? Latem — smętne horoskopy: upał, deszcze i urlopy!...)

Przyszedł więc autor w jesień... Świetlicowcy aż się pieni: „Co? W jesieni kłapa pewna: grypa oraz akcja siewna!...)

Aż zjawił się autor zimą — by tej pory nie pominąć... „Och, w zimie najgorsza sprawa: remanenty i karnawał!...)

Tak w zastój ciemnej głowy cały rok trwa sen zimowy!

Oto naga prawda, szorstka, niejednego przedsiębiorstwa, w którym rządzą się w świetlicy nie dość światli kierownicy.

PO SEANSIE KINOWYM W OKRESIE DERATYZACJI



Myszy do siebie: — Nic nie rozumiem... Jedni nas trują, a drudzy karmią...



— Proszę cię bardzo, siadaj. Jesteś przecież starsza...

Back to the Future

Ciemna noc. Franus wraca do domu po zabawie karnawałowej. W głowie szumi trochę po miodzie kaszubskim. Błądzi po parku Moniuszki. Nagle natknął się na drzewo:

— Prz... przepraszam pana — rzekł uroczyście zdejmując kapelusz i poszedł dalej. W tym natknął się na drugie drzewo:

— Proszę mi wybaczyć — mówi — jestem nie tego... karnawał, no nie?

Przy trzecim drzewie, które mu stało na drodze, zawyrokował: — Nie ma co, trzeba poczekać, aż ten pochód przejdzie...

— Wiesz kochanie, z tymi ciastkami, które upiekłaś, coś jest nie w porządku. — Ależ mój drogi, w książce kucharskiej napisane jest wyraźnie, że są bardzo smaczne.

Znany z rozstrągnięcia prof. B. składa wizytę znajomej, której mąż zmarł przed paru dniami. Po krótkim powitaniu pyta: — A cóż porabia małżonek? — Mój mąż? Już na cmentarzu, panie profesorze. — Niezwykły pomysł — dziwi się profesor — o tak późnej porze chodzić na cmentarz...

JASKI

Wodewil Warszawski

Z okazji zbliżającego się 200 przedstawienia w poznańskiej „Komedii Muzycznej”

Najpierw tramwaj się trzęsie i kiwa, ktoś się ciesz, ktoś żałuje i kinie, ONA zgrabna jest i urodziwa, On intyner i żenić się chce. Czy się zejda i chwycą w ramiona? widz się głowi i męczy ciekawski. Szczęściem spruj się manczester zielony — i już miłość. Wodewil Warszawski.

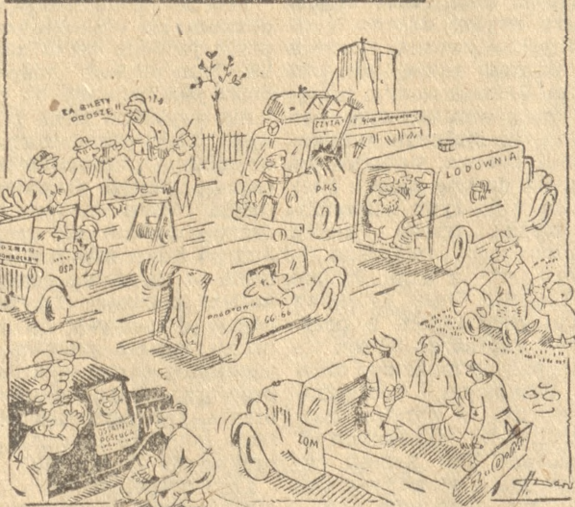
Potem domy budują murarze, siedząc w kucki i nucąc: la, la, żaden kielnił nie ruszył ni razu, ale bloki są na-a sto dwa! Krótko nuci tak, gdyż zaraz za tym jest zabawa i „taniec murarski” w samodzielnym i koszulach w kraty jak kowboje. Wodewil Warszawski.

I jest ciocia, faktycznie, zgęszczona: dzieci, radio, likatory złe, ciocia dąsa się jak Desdemona, słucha: bum bum bum bum, Be Be Ce. Potem goni za córką po krzakach, bo intyner wykańcza niewiasty, szczęściem była to zwyczajna draka — Zosia cała. Wodewil Warszawski.

Mała Helcia też numer niewąski, wygląd — mikrus a niemowlę — głos, jak nie cinnie raz w ką swoje książki, jak nie chwyci murarza za nos! Jak chwyciła tak już nie puściła się chłopaka (choć trochę niemrawski), znowu tańczą, aż nogi jej widać — hen do kolan. Wodewil Warszawski.

W końcu siedzą na oknach parami, w dali widok na trasę Wu-Zet i śpiewają pomiędzy oknami o księżycu co po wodzie szedł. A na trasie lekturyka się pali, wszyscy radzi i znikły niesnaski, bo niedawno się właśnie pobrali... — więc kurtyna! Wodewil Warszawski.

CO BY BUŁO GDYBY



Niektóre instytucje używają swoich wozów do niewłaściwych celów. (Z prasy)

FRASZKI polskie

JAN KOCHANOWSKI (1530—1584)

Największy przed Mickiewiczem poeta polski, ojciec naszej poezji

Na posła papieskiego

Posle papieski, rzymskiego narodu! Uczysz nas drogi, a sam chybiasz brodu. Nawracaj lepiej, niżli twój woźnica, strzeż nas tam zawieźć, gdzie płacz i tęsknica.

O kaznodziei

Pytano kaznodzieję: Czemu to pralacie! Nie samą tak żywiedę, jako nauczać? (A miał dom kucharke) i rzecze: mój panie! Kazaniu się nie dziwuj, bo mam pięćset za nie; A niewzłąbnych tysięcy, mogę to rzec śmieje, bych tak miał czynić, jako nauczam w kościele.

O kozle

Kozieł, kto go zna, piewszy do północy nie mógł do domu trafić o swej mocy; Ulżawszy kogoś — Słuchaj panie młody! Proszę cię, nie wiesz ty mojej gospody? A ten: Niech cię znam, tedy się dowieła. Jaw. pry *), jest Kozieł. — Idźże spać do chlewa.

O szlachcicu polskim

Jeden pan wielmożny niedawno powiedział: W Polsce szlachcic jakoby też na karczmie siedział, Bo kto jeno przyjedzie, to z każdym pił musi. A żona pościel zwiłocząc — nieboga się kztusił.

Na nabożną

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz, Czego się mialaś tak często spowiadać?

*) pry — rzekł, powiedział.